

Jednocześnie ukazuje się dyspozytor w towarzystwie łysego jegomości lat średnich, którego fizjonomia odznacza się spokojem, graniczącym z doskonałą obojętnością na wszystkie rzeczy tego świata.

— Panie redaktorze, przyszedł pan Dulski do pisania.

— Niech siada i niech pisze — mówi redaktor, nie odejmując rąk od twarzy.

— Dzień dobry panu! — odzywa się przybyły, nie zmieniając apatycznej fizjonomii.

— Tam! — wskazuje dyspozytor.

Następnie sadowi obojętnego mężczyźnie tyłem do grzbietu redaktora, podsuwa mu efekta piśmiennicze i jakiś dziennik na podkładkę.

— Panie dyspozytorze, ile będzie potrzeba szpalt »Kościorupa i dziewczicy?«

— Dwie... pół trzeciej..

— Bardzo dziś zimno — odzywa się pan Dulski.

— Piszemy, panie, — mówi redaktor, nie patrząc nawet na bliźniego, który podjął się roli maszyny kaligraficznej.

— Już z dziesięć lat nie pamiętam takiej zimy — zapewnia Dulski.

— Tytuł: »Kościorup i dziewczica« — dyktuje redaktor.

Pióro Dulskiego poczyną skrzypieć.

»Step straszny... (kropki) okropny... (kropki), pusty... (kropki). Zamiast zieleni trawy — bielizna śniegu, zamiast świergotu ptasząt — krakanie wron i wichru wycie...« (Od ustępu).

»Na posągowej twarzy dziewczicy wyrzeźbił się wyraz przerażenia, bo tuż, tuż zajęł pysznym rumakiem, gna stado wilków, złowrogo wywieszających krwawe języki i kłapiących wściekle porcelanowymi zębami.«

Redaktor nagle uciął, jakby chłód opisywania stepów zamroził mu kaskadę słów. W uchylonych drzwiach ukazała się ostra bródka, haczykowaty nos i silnie wystrzyżona głowa.

— Aaa, pan Jasek! Cóż pan każe?

— Upadam do nóg panu redaktorowi!... przyszedłem za te szedem rubli, co pan wie...

— Niema teraz. Panie Dulski, piszemy dalej.

— Jak to niema? Ja dzysz muszę gospodarzowi zapłacić

— Nie przeszkadzaj! »Z oczu i nozdrzy dzielnego bieguna sypały się iskry; pędził jak wiatr, gdy w tem dopadła go wilczyca i urwała mu ogon. Lunął potok krwi!...«

— Jakże będzie, proszę pana redaktora?

— Nie dostaniesz teraz nic, nie przeszkadzaj!

— To ja zaczekam.

— Nie czekaj, powiadam ci...

— Kiedy ja nie mogę, proszę pana, ja muszę dzysz dostac siedem rubli.

Redaktor z pochmurnego zrobił się majestatyczny.

— Josku, — rzekł — dostaniesz za godzinę pół rubla, ale teraz wynos się bo...

Zydek znikł.

— Ale, ale.. stój! stój! Przynieś mi jeszcze paczkę papierosów.

— Niech pan da pieniędzy.

— Nie mam drobnych; przynieś za swoje i zostaw w drukarni.

— Jak to może być? Ja pieniędzy nie dostanę i jeszcze mam papierosy kupować?..

— Za to możesz wypić kieliszek wódki.

— Także za swoje?

— Rozumie się! Tymczasem.

— Ny, ny!...

— Panie Dulski, piszemy dalej — mówi redaktor, spoglądając przez ramię na siedzącą za nim maszynę.

»Drobny ten łup na chwilę tylko wstrzymał pędzące stado, które wnet dognało ofiarę.«

— Panie redaktorze! — woła wbiegający w tej chwili, inocho zaaferowany pan, w starej burce i pomiętym kapeluszu. — Panie redaktorze! na miłość boską, dajcie mi piętnaście rubli!...

— Piętnaście rubli? — pyta zdumiony redaktor, drepzcząc nogami i gwałtownie zacierając ręce. — A artykuł przyniosłeś... pan?

— Mój Boże! dajcie mi pokój z artykułem przynajmniej teraz... Pan wiesz, moja żona...

— Aaa... wiesz!

— No, więc widzisz pan, czy w takiej chwili można myśleć o pisaniu?

— Panie, — odparł surowo redaktor — powód taki mógłby stanowić sprawiedliwą wymówkę dla pańskiej żony, ale nigdy dla pana.

— Ależ panie redaktorze, nie dręcz mnie; potrzebuję piętnastu rubli, a pan mi...

— Za godzinę będziemy panu mogli ofiarować pięć rubli, teraz zaś... Panie Dulski, piszemy.

— A niech was! mruknął przybyły, trzaskając drzwiami.

Pióro skrzypiało, redaktor dyktował.

»W tej chwili najtęższy wilk przyskoczył do cwałującego bieguna i urwał mu tylne kopyto z lewej strony; lecz szlachetne zwierzę, czując jak drogi ciężar unosi, pędziło dalej, nie dotykając nogami śniegu. Potok krwi płynący z ogona zamarł.«

Tym razem redaktor struchlał, ujrawszy w otwartych drzwiach jakieś poważne oblicze, oprawione w kołnierz z rzeczywistych szopów.

— A, szanowny pan Goldfisz!... Cóż pana dobrodzieja sprowadziło tak wcześniej?

— Dzień dobry! Pan chyba żartuje, pan przecie wczoraj jeszcze miał mi oddać te sto dwadzieścia...

— Niechże pan Goldfisz siada, bardzo proszę! Spodziewam się, że synek pański miał dobrą cenzurę?

— Niczego!... Ale widzi pan, ja nie mam czasu, a panowie to mnie tak zawsze jakoś umieją zamroczyć.

— No, jeżeli pan Goldfisz nie ma czasu teraz, to możemy za parę dni uregulować nasz rachunek.

— Za parę dni?... To już chyba z komornikiem — odparł obrażony gość, zabierając się do odejścia

— Chwileczkę... panie Goldfisz! Pan Goldfisz zna »Kupca Weneckiego« Szekspira?

— Dlaczego niemam znać? ja przecie całego Szekspira prawie na pamięć umiem.

— Pan wie, że do tej tragedji wchodzi lichwiarz nazwiskiem Szajlok?

— No tak, Szaja... wiem, wiem!

— Otóż wyobraź pan sobie, że otrzymaliśmy wczoraj miejską pocztą rysunek, a na nim... wiesz pan kogo? Oto pana! Jesteś pan tam przedstawiony z nożem w ręku i podpisem: »Abraham Goldfisz, Szajlok z Pocijowa, co na dwieście procent pożyczka.«

— Kto takie głupstwo napisał?

— Nie wiem; swoją drogą my rysunek użytkujemy.

— Jakto, wyrysujecie panowie w piśmie?

— Naturalnie. Pan nas chcesz stradować, my więc nie mamy racji oszczędzać pana.

— No, ja panu redaktorowi co powiem. Ja z temi stu dwudziestu rublami zaczekam jeszcze tydzień... dwa... niech będzie trzy — ale niech państwo tego nie robią...

— Hum! uważa pan Goldfisz... trudno... Artykułów nie mamy.

— Nie macie?... A jak wam ja chciałem dać, toście nie brali!

— Pański wiersz był strasznie słaby.

— Tamten słaby, ale ten, co mam teraz, to strasznie zdrowy. Przeczytam panu, com napisał: »O przyjaźni.«

Redaktor zgadza się, pan Goldfisz siada, wydobywa z kieszeni rękopis i czyta:

Przyjacieli wierni więcej znaczą,  
Niż skarb niezmierny. On przebaczy  
Wszystkie urazy  
Kilka razy.

A jeśli ty jesteś w potrzebie,  
Idziesz do niego, jak do siebie,  
On tobie pożyczka,  
Pieniądze odlicza.

A jeśli masz jakie zgrzyoty,  
Czy to zmartwienie, czy kłopoty,  
U niego pociechy szukasz,  
Do jego serca pukasz...

— No, co pan redaktor na to?

— Pyszny wiersz!

— Pójdzie na ten numer?

— Na ten? Poszedłby, ale... naprzód nie jestem pewien, czy ten numer wyjdzie.

— Dla czego nie jestem pewien?

— Zabrakło nam pieniędzy. Przez kilka dni (z powodu świąt) nie wpływała nam prenumerata.

Pan Goldfisz zamyślił się.

— No, a jakby poszedł, to z moim podpisem?

— Rozumie się! Kazałbym jeszcze odbić jeden numer dla pana na welinie, czerwonymi literami

Pan Goldfisz powtórnie się zamyślił.

— Ile to potrzeba?

— Z pięćdziesiąt rubli.

— Ale poszedłby z moim podpisem i z czerwonymi literami?

— Jakżeś pan chciał?

— No... to ja panu pożyczę pięćdziesiąt rubli, tylko... Niech pan do mnie za godzinę przyjdzie.

To powiedziawszy, pan Goldfisz wstał, odetchnął głęboko i czule pożegnawszy redaktora, wyszedł. Po upływie jednak kilku sekund wrócił znowu i uchylając drzwi dodał:

— Z moim podpisem, pamiętaj pan!

Teraz dopiero na surowym redaktorskim obliczu wykwitł uśmiech, który jednak należało powściągnąć, przez wzgląd na wchodzącego dyspozytora.

— Panie redaktorze, przyszedłem po fantazję o kościorupie, niech pan teraz da choć kawałek.

— Mówisz pan o »Kościorupie i dziewczicy?« Mogę dać teraz kawałek, za godzinę będzie reszta. Panie Dulski, proszę rękopis

Ale pan Dulski nie podniósł nawet schylonej głowy, tylko wciąż pisał zawzięcie.

— Panie Dulski! — zawołał dyspozytor — proszę o rękopis!..

Pan Dulski ciągle pisał.

Ten jawny dowód lekceważenia osób, wyższe zajmujących stanowiska, obruszył redaktora, który powstał z gniewem i z pod ręki Dulskiego wydarł papier. Lecz apatycznego człowieka nie obraził bynajmniej ten wybuch. Spokojnie strzepnął pióro i odwróciwszy głowę, rzekł:

— Bity charakter, panie!

Redaktor spojrział na papier, przybliżył go do światła, przetarł oczy, a na twarz wystąpiły mu sine plamy.

— Co to jest? »Pisarz Trybunału Cywilnego... Wiadomo czyni, iż na żądanie Jankiela Karabin, kupca w mieście gubernialnem zamieszkałego, a zamieszkanie prawne u Franciszka Patykowskiego Patrona Trybunału... Co to znaczy? ten człowiek zamiast pisać to, co ja mu dyktowałem, napisał ogłoszenie o substancji?«

— Z tego arkusza, panie, — mówił Dulski — toby były cztery kancelaryjne.

— Czyś pan zawarował? — pyta redaktor.

— Najmniej dwa złote, panie — odpowiada nowo kreowany literat.

— Ależ panie dyspozytorze, ten człowiek jest głuchy!

— Coś pan zrobił? — wrzeszczy do ucha Dulskiemu zirytowany dyspozytor.

— Co? a przepisałem ogłoszenie z tej gazety, co kazał pan dyspozytor.

— Ależ ja ją panu tylko na podkładkę dałem! — odpowiada oburzony dyspozytor.

— Niechże was tu wszystkich najjaśniejsze — konkluduje redaktor.

**Bada.**



— Co ty, właściwie chcesz odemnie?..

— Nie, mężusiu, tylko, żebyś nie stetryczał. Idź sobie na spacer. Konserwuj się, to mi na dłużej wystarczy.